Rok I. Lwów, 1. Września 1899. Nr. 7—8.

PROMIEŃ

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM MŁODZIEŻY SZKOLNEJ.

Wychodzi raz na miesiąc.

Prenumerata wynosi:

rocznie zlr. 1.60, z przesyłką 1.84 — kwartalnie 40 ct., z przesyłką 46 ct. — Numer pojedynczy 15 ct., na prowincyi 16 ct.

Adres Redakcyi: Lwów, ulica Kurkowa l. 14. Filia administracyi w Krakowie przy ulicy św. Anny 3.

„Młodość jest rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały". — Krasiński.

OD REDAKCYI.

Po krótkiej przerwie wakacyjnej wracamy do podjętej pracy. Wracamy — z tem samem głębokiem przeświadczeniem, które nas ożywiało przy rozpoczynaniu wydawnictwa, że działalność nasza jest pożyteczna, a nawet konieczna, z tą samą wiarą, że droga nasza jest słuszna, że w pracy dla dobra publicznego nie jesteśmy robotnikami zbędnymi i niepowołanymi.

Wprawdzie nie szczędzono usiłowań, aby nas przedstawić w jaknajgorszem świetle, aby społeczeństwo uznało wydawnictwo nasze za zdrożne i szkodliwe. Ale na napaści takie z góry byliśmy przygotowani; wiedzieliśmy, że obóz wstecznictwa i policyjnej powagi, że czarny hufiec ciemnoty i ucisku wystąpi przeciwko nam z bezwzględnem potępieniem. Obóz ten okazał nam, co jedynie okazać mógł: złą wolę, wywołaną niezadowoleniem, że powstała nowa placówka postępowa, strachem, że myśl wolna i szersze dążenia przeniknął tam, gdzie dotychczas tylko biurokratyczna opieka święciła tryumfy. Głosy, z tej strony pochodzące, nie mogą na nas wpływu wywrzeć. Niczego innego od wstecznictwa nie oczekiwaliśmy, nie prosimy też o pardon tych, których zwalczamy jako złe duchy narodu.

Skądinąd zarzucano nam, że występujemy zbyt śmiało, zbyt jaskrawo, że jesteśmy w sądach zbyt bezwzględni. I ten zarzut nie wzrusza nas. Przyznajemy się do winy: nie lubimy mydłkowania, nie chcemy oscylować między konserwatyzmem a postępem, nie uznajemy wygodnej maksymy: postaw Panu Bogu świeczkę, a dyablu ożóg, nie kierujemy się względami i względzikami fałszywej przyzwoitości, nadęte powagi nie imponują nam, a ślamazarności myśli i języka nie uważamy za cnotę. Jak dotychczas, tak i nadal nie będziemy się krępowali w wypowiadaniu śmiałem poglądów.

Nie zmieniamy tedy ani treści, ani formy swoich wystąpień. W miarę sił i nadal pracować będziemy w imię wolnej myśli, demokratycznego postępu i wzniosłych ideałów narodowych. Te same gwiazdy przyświecać nam będą; to samo nieśmiertelne tchnienie wolności ożywiać nas będzie.

Jeszcze raz do wspólnej pracy wzywamy was, Koledzy! Pismo nasze, choć przeznaczone głównie dla młodzieży szkolnej, ma zadania szersze, całą młodzież inteligentną interesować powinno. Wszystkich wogóle, komu sprawa postępu i niepodległej demokratycznej Polski na sercu leży, prosimy o poparcie. Razem, młodzi przyjaciele! W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele!

Wiec maturzystów.

Dnia 3 lipca b. r. odbył się we Lwowie w hali muzycznej wiec maturzystów, którzy w tym roku ukończyli szkoły średnie. Wzięło w nim udział około 30 maturzystów, a oprócz tego około 70 osób z publiczności. Przewodniczył technik Marynowski, sekretarzami byli maturzyści Kraus i Fedorowicz. Na wiecu wygłoszono 3 referaty, mianowicie: 1) Obowiązki i zadania społeczne młodzieży. 2) Wybór zawodu i 3) Samokształcenie a wyższe studya. Referenci przedstawili cały szereg myśli, które już niejednokrotnie w „Promieniu" poruszaliśmy i w przyszłości poruszać będziemy, dlatego pomijamy na tem miejscu treść referatów, a zajmiemy się bliżej dyskusyą.

Pierwszy zabrał głos maturzysta Szczepanowski, wzywając kolegów, aby nie poprzestawali na samem wygłaszaniu szumnych haseł, ale starali się przedewszystkiem wprowadzać je w czyn. Jeden z dalszych mowców, inż. Mokłowski wykazał zebranym maturzystom, jaka przepaść oddziela drogę ciężkiej i żmudnej pracy dla społeczeństwa od wygodnego i spokojnego życia, poświęconego jedynie zrobieniu karyery, zadowoleniu swego żołądka i swych potrzeb materyalnych, poczem zachęcał ich do pracy nie (gdzieś w górze) nad ludem, ale z ludem i dla ludu. Następny mowca p. Przygodzki, podniósłszy piękną myśl wiecu, zauważył, że pomiędzy akademikami jest wielu takich, którym walka o swój byt, często o byt swojej rodziny, nie pozwala zająć się pracą społeczną i zmusza ich do pozostania w ciasnym zakresie swoich zawodowych zajęć, w dalszym zaś ciągu zaznaczył, że w przyszłości cały nasz naród rozpadnie się na 2 obozy przeciwne, oba równie silne i dobrze zorganizowane t. j. obóz socyalno-demokratyczny i socyalno-chrześcijański; w końcu zarzucił socyalistom, że lekceważą ideały narodowe, podczas gdy chrześcijańsko-socyalni na równi z narodowymi pielęgnują ideały społeczne pracy nad podniesieniem warstw ludowych — słowem usiłował zwerbować młodych abituryentów do swojej partyi. W ten sposób została dyskusya skierowana na tory polityczne. I tak wprawdzie akad. Dawid, który przemawiał zaraz po p. Przygodzkim, ograniczył się tylko na tem, iż wytknął p. Przygodzkiemu dwie rzeczy tj. przedwczesne ostrzeganie młodych maturzystów przed czekającą ich walką o chleb codzienny, która może im uniemożliwić pracę dla społeczeństwa, a więc trzeźwienie ich w szlachetnym zapale — rozmyślne zwrócenie dyskusyi ku kwestyom natury politycznej; i inni jednak mowcy nie powstrzymali się od polemiki z polityczną częścią przemówienia p. Przygodzkiego. Inż. Mokłowski ostrzegał zebranych maturzystów, aby się nie dali złapać w sidła t. zw. partyi chrześcijańsko-socyalnej, która niby to ma na celu pracować nad uświadomieniem ludu i odrodzeniem narodu, a w rzeczywistości jest tylko nową placówką Jezuitów, usiłujących zagarnąć wszystko w swe ręce i zrobić z ludu roboczego powolne sobie narzędzie, wykazując szkody zadane naszemu narodowi przez Jezuitów. Dr. Górzycki i akad. Mełeń zbijali natomiast zarzut obojętności w sprawach narodowych, czyniony socyalistom. Z dalszych przemówień zasługują na uwagę przemówienie p-ny Parniewskiej, która w pełnych zapału słowach wzywała maturzystów, by od przyszłej pracy społecznej nie odsuwali kobiet, aleprzypuścili je do udziału oraz przymówienie maturzysty Szczepanowskiego, na którym dyskusya polityczna zrobiła wrażenie, jakby maturzyści byli kawałkiem mięsa, a o to mięso darły się różne partye. Z pomiędzy maturzystów przemawiał jeszcze jeden, mianowicie K. Wachtel. Dziękował on inicyatorom wiecu t. j. redakcyi „Teki" (sic! w jego przekonaniu) za urządzenie tego zebrania i usprawiedliwiał nieobecność swoich kolegów, którzy nie mogli się zjawić z powodu odbywajacej się u nich właśnie matury. Wiec zamknięty został około

godziny dziewiątej wieczorem po blisko czterogodzinnych obradach.

Wiec ten, jak zapewne wiedzą czytelnicy, był urządzony po raz pierwszy, spodziewać się więc należało, że jako myśl nowa, spotka się z przychylną opinią ze strony gazet i dzienników. Niestety, stwierdziliśmy i przy tej sposobności, jak przy wielu innych, jak trudno u nas o uczciwy sąd i przedmiotową ocenę. Inicyatorowie wiecu nie myśleli wcale o żadnej propagandzie politycznej, postawili sobie bowiem za cel wskazać młodym maturzystom te zadania i obowiązki, jakie ich w przyszłem życiu czekają. Szkoła dzisiejsza stara się ukryć przed oczami swoich wychowanków wszystko, co ma związek z życiem publicznem, odgranicza ich murem od przyszłego pola działania, tak, że uczeń, wychodząc ze szkoły, nie ma tego koniecznego podkładu poglądów i przekonań, na którymby później można budować drogę własnych, osobistych doświadczeń. To też jest obowiązkiem wszystkichludzi dobrej woli i szczerego patryotyzmu, a w pierwszym rzędzie obowiązkiem akademików, zaopiekować się tą młodzieżą, opuszczającą szkoły średnie i oświetlić im choćby paru promieniami to życie, do którego wchodzą i te stosunki, wśród których działać mają. Czyż trzeba aż oświetlenia partyjnego, aby dać poznać obowiązki każdego z nas wobec naszego kraju, tak bardzo zaniedbanego i potrzebującego tak wielu reform i ulepszeń? Albo czyż jest wątpliwem, jakie zadanie ciąży na każdym Polaku? Nie, co do tego dwóch zdań być nie może, chyba że ktoś zamknie oczy na nędzę i upadek, panujące w naszem społeczeństwie, albo wydrze z swej piersi serce polskie! Mimoto prasa nasza nie potrafiła zdobyć się już nie na przychylną, ale nawet na przedmiotową ocenę wiecu. Jedni zapałali gniewem i zazdrością, że to nie oni zainicyowali zebranie, lub że ich do komitetu urządzającego wiec nie zaproszono; inni znowu oburzeni byli z tego powodu, że są ludzie, ktorzy ośmielili się zdzierać zasłonę, tak starannie utrzymywaną w szkołach na oczach wychowanków i chcieli wskazać maturzystom inny horyzont, inne drogi, niż im wskazywano w szkołach średnich; dalej więc rzucać kamieniami na inicyatorów wiecu, byle zdyskredytować nową myśl, stłumić ją w zarodku i nie dopuścić nowego jej pojawienia się, a czy bronią, którą walczyli, było oczernianie, czy kłamstwo lub przekręcanie faktów, to już obojętne dla nich. I tak, choć stwierdzono, iż na wiecu obecnych było około 30 maturzystów, nazywało się prawie we wszystkich dziennikach i pismach galicyjskich, iż maturzystów przyszło dziesięciu, lub że ich nie było wcale. Dalej wedle opinii galicyjskiej prasy wiec zorganizowany był przez socyalistów celem propagandy partyjnej i t. d. Powodem do tej ostatniej insynuacyi była dyskusya polityczna na wiecu. Źle się wprawdzie stało, że komitet dopuścił do niej, ale w takim razie nie można by było udzielić głosu ludziom starszym. Wina wmieszania do dyskusyi kwestyi politycznych spada głównie na p. Przygodzkiego, nic zaś nie można zarzucić inż. Mokłowskiemu z powodu tego, iż ostrzegł młodych abituryentów przed wilkiem w owczej skórze tj. przed t. zw. partyą chrześcijańsko-socyalną, będącą na żołdzie Jezuitów i stańczyków. To też nie można przyznać słuszności maturzyście Szczepanowskiemu, który nazwał tę część dyskusyi darciem się różnych partyi o tych kilkudziesięciu maturzystów obecnych na wiecu. Należało napiętnować tylko przemówienie p. Przygodzkiego, który r o z m y ś l n i e i z p e w n o ś c i ą z e z ł ą w o l ą zaczepił socyalistów, aby wywołać reakcyę ze strony przeciwnej i zdyskredytować wiec jako dzieło socyalistów wobec szerszej publiczności, uprzedzonej do wszystkiego co trąci socyalizmem. Zgodzić się można z p. Przygodzkim tylko na jedno, że w przyszłości naród nasz rzeczywiście rozpadnie się na dwie partye, tj. na tych, którzy pragną postępu i odrodzenia narodu, i na tych, którzy chcą jego upadku i zatracenia, w tym drugim obozie znajdą się na pewno Jezuici.

W końcu możemy zapewnić naszych wrogów, że ich zachowanie się względem wiecu utwierdziło nas tylko w przekonaniu o konieczności urządzania takich zebrań i że to widmo, które starali się wypłoszyć swemi oszczerstwami i kłamstwami i w latach następnych nie da im spokoju.

W sprawie wyboru zawodu.

W ostatnim numerze „Przedświtu“ (lipiec 1899), czasopisma wychodzącego w Londynie, znajdujemy ciekawy artykuł p. t. „Wo-

bec wyboru zawodu", który ze względu na przedmiot, o którym mówi, i stanowisko, z jakiego autor wychodzi — powinien zająć czytelników naszych.

Na wstępie wspomina autor, że w swoim czasie pojawił się w jednym z tygodników warszawskich artykuł, omawiający kwestyę wyboru zawodu, gdzie wskazywano, że młodzież po ukończeniu szkół średnich, powinna się poświęcać kierunkowi technicznemu, a to ze względu na to, iż nadmiar prawników, medyków i w ogóle ludzi z wykształceniem uniwersyteckiem, w obec szybkiego wzrostu przemysłu w krajach polskich i wielkiego popytu sił fachowych — nie daje tak pomyślnych materyalnych warunków, jak to ma miejsce w zawodzie technicznym.

Otóż o ile chodzi o stronę materyalną czysto — to bezwarunkowo wykształcenie techniczne daleko prędzej, niż każde inne przyniesie młodemu człowiekowi znaczne zyski i postawi go w dobrobycie, którego inny musi szukać w żmudnej i ciężkiej pracy nieraz przez długie lata. Ale nasuwa się pytanie, czy, wybierając zawód, nie powinien się człowiek zastanowić, czy i o ile ten zawód, zaspakajając jego potrzeby fizyczne, t. j. sprowadzając do jego kieszeni obfite zyski — nie stanie w fatalnej sprzeczności z jego potrzebami moralnemi, czy nie każe mu najdroższe i najświętsze uczucia, jako szkodliwe zapory precz odrzucić, czy wprost nie stanie się dla niego „ciągłem pasmem udręczeń i katuszy?"

Każdy technik w czasie swych studyów poznaje w „teoryi" główne zasady swego zawodu: jak robotnik powinien się obchodzić z maszyną, jak ta maszyna powinna pracować, by jej praca była możliwie najwydatniejszą i t. d. i t. d. Tymczasem przychodzi rzeczywista praktyka w fabryce czy kopalni i czego się tutaj dowiaduje — oto, że tamte rzeczy są wprawdzie potrzebne — jednak mniej ważne, przedewszystkiem zaś trzeba się trzymać zasady: „Aby ludzie robili więcej za te same pieniądze, albo tę samą robotę, za mniejszą cenę..."

Ostatecznem dążeniem każdej fabryki jest manipulacya, by „koszta własne" zredukować do minimum. Wskutek tego muszą się one stale z roku na rok, nawet z miesiąca na miesiąc obniżać, w przeciwnym bowiem razie, dyrektor czyni wyrzuty urzędnikom, które zazwyczaj kończą się niedwuznacznem zagrożeniem wydalenia ze służby.

Autor dodaje, że np. we wszystkich fabrykach i kopalniach zagłębia Dąbrowskiego, istnieje „zwyczaj" obliczania z końcem każdego miesiąca owych „kosztów własnych".

Wobec takich warunków znajduje się młody technik w położeniu niemal bez wyjścia. Bo ulegając naciskowi z góry, musi albo sam także drugich cisnąć, zastosowując n. p. cały szereg „środków", zmniejszających nakład kosztów — a więc ograniczyć liczbę robotników do możliwie małych rozmiarów, bez względu na to, co się stanie z wydalonymi, jakoteż z pozostałymi, którym o połowę przybyło ciężkiej pracy — nakładać kary pieniężne, lub ujmować robotnikom parę centów z dziennego zarobku i t. p. — albo nie chcąc być narzędziem wyzysku i przedmiotem przekleństw dręczonych ludzi — musi opuścić intratną posadę.

Wprawdzie nie wszyscy z obejmujących zawód techniczny są ludźmi tego rodzaju, że istniejące warunki w fabryce lub kopalni mogą się stać dla nich przyczyną strasznej rozterki wewnętrznej. Są tacy, dla których względy uczucia będą obojętne, byleby tylko ich potrzeby fizyczne i materyalne były zaspokojone i tym rola „bata na niewolników" nie będzie wstrętną; są to, jak ich autor nazywa, „drewna moralne". Ale są też i inni, mający owe „dziwne" uczucia etyczne czy moralne do tego stopnia „wybujałe", że życie w takich warunkach staje się nie do zniesienia.

Dlatego też tacy ludzie, obierając zawód, powinni się kierować nie tylko wyłącznie względem na szybkie zdobycie zyskownej posady — ale postawić sobie otwarcie pytanie, czy dany zawód, później w praktyce nie przyniesie udręczeń moralnych.

Bo życie ludzkie, jakimkolwiek torem się potoczy i w jakimkolwiek kierunku rozwijać się będzie, musi zawsze poznać i otrzeć się o ten ogrom cierpień dokoła rozlanych. Chodzi tylko o to, ażeby człowiek sam bezpośrednio nie przykładał ręki do tego morza boleści ludzkiej. A to nigdzie tak jaskrawo i w tak szyderczy sposób nie występuje, jak w zawodzie technika.

Zapewne, że czas, który wszystko łagodzi i zaciera, i tutaj z biegiem lat odbiera cha-

rakter gwałtownej walki przy wewnętrznej, każdorazowemu zetknięciu się uczuć własnych z bezwzględną rzeczywistością. Bunt wewnętrzny przygasa z czasem i zdaje się, że wszystko spopielało. Jednakże, gdy po pewnym okresie takiego znieczulenia, człowiek wejrzy w siebie i zanalizuje swoją istotę duchową, dozna niewypowiedzianie bolesnego uczucia i przekona się, że zadane rany nie zabliźniły, ale jątrzą się.

Taka jest treść artykułu. Dodać musimy, że na to, aby młody człowiek, obierając zawód, zwracał uwagę i na jego stronę moralną, w zupełności zgodzić się trzeba. Nie można jednak aprobować tego, by młodzież, chociażby ze względów, które autor przytoczył, usuwała się systematycznie od danej gałęzi wiedzy, jak w tym wypadku od zawodu technicznego.

Jeżeli bowiem n. p. weźmiemy Galicyę, gdzie przemysł tak się powoli rozwija, a gdzie mimo to jest tak wielkie zapotrzebowanie sił technicznych, że do budowy kolei i do fabryk sprowadzają czeskich i niemieckich techników i jeżeli sobie uprzytomnimy, że odrodzenie moralne i ekonomiczne tego kraju jest ściśle tu związane z rozwojem i wzrostem wielkiego przemysłu — to stanowczo musimy potępić tę część młodzieży, która, mając wszelkie warunku po temu, nie oddaje się studyom technicznym — ale pomnaża sobą szeregi pasożytnej biurokracyi.

Co się zaś tyczy owych „cierpień moralnych“, których zdaniem autora musi doznawać każdy człowiek, poświęcający się technice a mający trochę czucia w piersiach, to zdaje nam się, że i tutaj autor zapatruje się na rzecz zanadto pesymistycznie. Naszem zdaniem — i tu już nie trzeba się ograniczać samą Galicyą — każdy, kto wchodzi w takie życie fabryczne — (oczywiście mowa tu zawsze tylko o tych „dziwnych“ ludziach, którzy odczuwają cierpienia drugich) jest w stanie do pewnego stopnia p r z e c i w d z i a ł a ć i ł a g o d z i ć chociażby tylko moralnie ten brutalny i nieludzki stosunek, jaki zachodzi między fabrykantem a robotnikiem. I jesteśmy pewni, że lud roboczy odczuje i oceni takiego człowieka, chociażby ten poniekąd musiał być narzędzem jego wyzysku. A w końcu pozostaje praktyczny sposób nie wykonywania drakońskich zarządzeń zwierzchnika, co oczywiście, pociągając za sobą wydalenie ze służby, nie zagłuszy tego zadowolenia wewnętrznego — że się oszczędziło ludziom trochę niezasłużonych cierpień.

I jeszcze jedno. Nie jednemu z młodych ludzi, który przedtem może wcale nie należał do tych, którym ból drugich tak samo dolega jak własny — dopiero w fabryce otwierają się oczy na to, co dawniej lekceważył. Nie jednemu z nich kilka lat lub nawet miesięcy pobytu w fabryce wystarcza, by poznał, odczuł i wnikł we wszystkie cierpienia tej olbrzymiej masy ludzi bezbronnych, zdanych na łaskę i niełaskę jednego lub kilku „dyrektorów“ takiej kopalni czy fabryki. I zdaje nam się, że więcej są warci tacy, którzy w odmętach życia fabrycznego odnajdą swoje najświętsze ideały — niżeli ci — którym — jak powiada autor — zawód techniczny każe te ideały zbezcześcić i precz odrzucić.

List do Redakcyi.

Otrzymaliśmy od jednej z koleżanek list następujący, który umieszczamy w całości.

Gdy po przerwie wakacyjnej rozpocząć się ma nanowo wydawnictwo „Promienia“, przychodzi mi na myśl pewien projekt, który chciałabym do rozstrzygnięcia przedstawić szanownej Redakcyi „Promienia“ — mianowicie: czy nie dałoby się rozszerzyć zakresu działania pisma tak, iżby ono ogarnęło i młodzież ż e ń s k ą, uczęszczającą do szkół średnich, — i by stało się tym sposobem organem prawdziwie całej m ł o d z i e ż y szkolnej, nie zaś tylko m ł o d z i e ń c ó w, jak to miało miejsce dotychczas?

Nasuwa się tu naturalnie zaraz kwestya, czy pismo takie, jak „Promień“, wogóle jest p o t r z e b n e dla młodzieży żeńskiej tak, jak ono bezwątpienia potrzebne jest dla młodzieży męskiej? — Aby módz odpowiedzieć na to pytanie, przypomnijmy sobie przedewszystkiem cele i zadania „Promienia“, wyjaśnienie których znajdujemy w artykule wstępnym — „od Redakcyi“, umieszczonym w 1-ym Nr. pisma.

„Promień“, według słów Redakcyi, przedewszystkiem ma na celu zastąpić różne pisemka „uczniowskie“, by „gorąco przez młodzież odczuwanej potrzebie wypowiedzenia się dać wyraz jasny i skierować ją we właściwe łożysko“...

Pod względem naukowym „Promień“ ma być, „w miarę sił, uzupełnieniem, a nieraz poprawieniem nauki szkolnej“... ma mówić młodzieży „o społeczeństwie, o prawach, obowiązkach i zadaniach obywatelskich, o walkach, które wrą na szerokim świecie“...

Pod względem narodowym i społecznym „będziemy — mówi Redakcya,— podsycali właściwy ich kierunek... Będziemy tępili przesądy arystokratyczne, będziemy wpajali cześć dla pracy, zwłaszcza dla ciężkiej pracy milionowych rzesz ludowych, będziemy budzili życzliwość dla spraw i dążeń ludu pracującego“...

Słowem „Promień“ powstał na to, aby być siewcą czystych uczuć, jasnych myśli, aby rozpalić w duszach młodych cześć dla ideału, aby pobudzić w nich chęć do czynu i walki, — „Promień“ powstał, jako wyraz reakcyi, budzącej się przeciw dzisiejszej o spałej, biurokratycznej, zaśniedziałej w sobkostwie młodzieży.

A przecież... wszystko, coby się dało ujemnego powiedzieć o galicyjskiej młodzieży męskiej — płytkość, szablonowość, brak ideałów, brak szerszych poglądów na świat i na życie — wszystko to trzeba zarzucić i młodzieży żeńskiej i to w spotęgowanej mierze. Bo akademicy, łącząc się w stowarzyszenia, spotykając tam często wyższe umysłowości, biorąc udział w dyskusyach, rozszerzają jakoś zakres swoich wiadomości i, jeśli sami nie biorą udziału w życiu społecznem, to przynajmniej interesują się niem, czytają, mają o wszystkiem jakie takie pojęcie. U żeńskiej młodzieży nie znajdujemy nawet tego. Przeważna część młodych panien wiadomości swoje o tem, co „wre na szerokim świecie“, czerpie z „Narodówki“ czy z innego jakiegoś codziennego pisma, omijając zresztą najstaranniej politykę i artykuły społeczne.

Śmieszny szablon zwyczajowy, ścieśniający do ostatnich granic samoistność młodej dziewczyny, opisujący każdy krok niemal w jej życiu, zabija w niej indywidualność, zamyka przed nią szersze horyzonty, czyni ją niejako niewolnicą tej atmosfery duchowej, tych światopoglądów, jakie panują w rodzinnym jej domu. Przez to właśnie „niewolnictwo umysłowe“ kobiety możemy sobie wytłómaczyć ten stwierdzony powszechnie fakt, że kobiety, naogół biorąc, są więcej konserwatywne od mężczyzn. — Umysł, chowany w powijakach, chroniony od najlżejszych podmuchów surowej rzeczywistości, nie może naturalnie się w pełni rozwinąć, — nie może nabyć tej siły krytycznej, aby mógł odróżnić zawsze prawdę od fałszu, frazes — od uczucia, konwenans — od obowiązku.

I cóż dziwnego, że taka młoda dziewczyna, — wychowana w społeczeństwie, którego interesy jej nie obchodzą, którego walki nią nie wstrząsają, którego dążeń ona nie rozumie, — nie może wyrosnąć na wszechstronnie rozwiniętego człowieka, świadomego sił swoich i zadań, lecz pozostaje przez całe życie mniej lub więcej „sympatycznem“ dzieckiem.

Nie znam tutejszych gimnazistek, gdyż sama gimnazyum kończyłam w zaborze rosyjskim. Będąc wszakże słuchaczką lwowskiego uniwersytetu, znam stosunki uniwersyteckie, — studentkom więc naszym poświęcić chcę kilka uwag.

W ubiegłym semestrze na uniwersytet lwowski uczęszczało kobiet koło 40-tu. Składały się one z kilkunastu nauczycielek, pragnących tu „zaokrąglić swoje wiadomości“, — z kilku pań, które w chwilach wolnych od zajęć domowych oddają się studyom naukowym, — i kilkunastu panienek, nazywających się „studentkami“.

Panie, uczęszczające na uniwersytet, na ogół biorąc, pilniejsze są od panów: większa ich część uważa sobie za występek opuszczenie jakiegoś wykładu, a za święty obowiązek — zdawanie wszystkich colloquiów ze wszystkich słuchanych przedmiotów. — Bardzo chwalebnem jest to regularne składanie colloquiów, i bardzo chwalebnemi są te wszystkie celujące, jakie panie te zwykle otrzymują, ale — czyż to powinno wyczerpywać całą treść życia akademickiego, pojętego w najszerszem i najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu?

Wprawdzie rdza biurokratyzmu i samolubstwa wygryza w duszach przeważnej części młodzieży naszej wszelkie poczucie powinności obywatelskiej i czci dla ideału, to jednak nie zatarły się jeszcze jasne wspomnienia przeszłości, — tradycye Filomatów i Filaretów żyją u nas jeszcze i mówią nam o tych, co tak wzniośle pojmowali obowiązki swoje jako młodzieży akademickiej, i tak chlubnie umieli je wypełniać! — Lepsza część młodzieży naszej dziś jeszcze szczyci się tradyc-

cyami temi i nie wyrzeka się obowiązków, przez nie przekazanych, — nie powinny się ich wyrzekać i kobiety — studentki.

Mówiąc o studentkach naszych nie można zamilczeć jeszcze jednej cechy dla nich charakterystycznej, — mianowicie — absolutnego braku jakiej takiej solidarności koleżeńskiej między niemi. Nie mówiąc już o stosunku z kolegami, który jest albo śmiesznie salonowy i naciągany, albo zimny — jak lód, i daleki — na milowe dystanse, — ale nawet między sobą „studentki“ zachowują się jak obce, trzymają się od siebie zdaleka (o ile, naturalnie, nie znają się prywatnie), mówią sobie: „pani“ i często nie kłaniają się sobie wcale na ulicy.

Trzy tylko studentki należą do Czytelni akademickiej i trzy — do „Zjednoczenia“— reszta pozostaje społeczności akademickiej i życiu akademickiemu zupełnie obcą.

Pod tym względem uniwersytety zagraniczne, a zwłaszcza rosyjskie, o wiele wyżej stoją od naszych. Wzajemny sto unek młodzieży akademickiej, tak męskiej, jak żeńskiej, jest tam prosty, jasny i najszczerzej koleżeński. Do takich stosunków młodzież galicyjska jeszcze nie dorosła.

Rzecz to napozór nic nieznacząca, ma jednak wielką wagę, bo dają się stąd wyciągnąć poważne wnioski.

Wielki filozof francuski, Montaigne, piszący w XVI stuleciu, pogardzał kobietami i uważał je za istoty niższe od mężczyzn, a to głównie z tej przyczyny, że kobiety, twierdził, niezdolne sę do uczucia przyjaźni, które on uważał za najwyższe z uczuć ludzkich. Teoretycznie rzecz biorac, twierdzenie to Montaigne'a jest śmiesznem i nie da się w żaden sposób uzasadnić, faktycznie — życie uczy nas, że w istocie przykłady przyjaźni kobiecej — wyższej, prawdziwej, szczerej przyjaźni — zdarzają się nader rzadko. Za czasów Montaigne'a musiało to być jeszcze więcej rażącem, — ale ludzkość naprzód wciąż postępuje, a rozwój umysłowy kobiety postępuje względnie w szybszem tempie, niż rozwój ludzkości. I dziś zdarzają się już wypadki przyjaźni ze strony kobiet, ale zdarza się to dość rzadko i zdarza się przeważnie u tych kobiet, które obdarzone są wyjątkową inteligencyą, — szlachetnością uczuć, głębokością myśli.

I nic w tem dziwnego.

Przyjaźń — to jest taki kwiat, co wykwita tylko na niwie wspólnych **przekonań** społecznych, intelektualnych czy moralnych.

Przyjaźń jest najczystszem z uczuć ludzkich, jest uczuciem prawdziwie **ludzkiem**, bo idzie z ducha i w duchu ma swój podkład.

Kobiety, pozbawione po większej części **swoich własnych przekonań**, żyjące niepełnem życiem **ludzkiem**, obce nagromadzonym dotąd skarbom **myśli** ludzkiej, **nie czujące z milionami i nie żyjące dla milionów**, nie mają też w duszach gruntu odpowiedniego, z którego mógłby wyrosnąć wspaniały, przeczysty ten kwiat.

A przecież przyjaźń jest w istocie najwyższym skarbem dla duchowo wykształconego człowieka: jest ona źródłem najczystszych rozkoszy i jest bodźcem do największych czynów.

Posłuchajmy co mówi o przyjaźni jedna z największych kobiet polskich, Eliza Orzeszkowa:

„. . . . Nie jest prawdą, że złe okrywa ziemię, jak jedna wielka płachta czarna. Nie przeczę istnienia takiej płachty, lecz są w niej otwory, przepuszczające do życia światło i powietrze, a co najważniejsza, to że te otwory rozszerzanemi być mogą . . . . **A możność istnienia na ziemi serdecznego braterstwa bez węzłów krwi czyni w czarnej płachcie otwór szeroki, przez który spływa na życie światło czyste i krzepiące**“...

Wielką potęgę przyjaźni, jako dźwigni społecznej, służącej do wychowywania czynów wielkich, pojął i odczuł najlepiej wieszcz nasz natchniony, Mickiewicz. Połączył on ją w wyobraźni z drugą takąż potęgą — z potęgą młodości — i stworzył nieśmiertelną swoją „Odę do młodości“ gdzie najpotężniejszym może jest ten ustęp:

„Hej, ramię do ramienia! Wspólnemi łań-
[cuchy
„Opaszmy ziemskie kolisko!
„Zestrzelmy myśli w jedno ognisko
„I w jedno ognisko — duchy!

A poniżej, gdy mówi z wiarą, że „wyjdzie z zamętu świat ducha“, to dodaje:

„**Młodość** go pocznie na swojem łonie,
„**A przyjaźń** w wieczne skojarzy spójnie“.

W tem znaczeniu słów tych, w jakiem pojmował je Mickiewicz, kobiety nasze nie są młodemi i nie znają uczucia przyjaźni. Bądź z winy warunków, bądź z własnej — obrabowują siebie i społeczeństwo z największych tych skarbów duchowych. Pragnęłabym bardzo, aby rabunek ten mógł ustać. Chciałabym dobrze i właściwie być przez Szanowną Redakcyę zrozumianą. Nie chodzi mi o to, aby „Promień“ od spraw ogólno-ludzkich lub narodowych, przechodził teraz do pewnego odłamu tylko spraw tych — do kwestyi kobiecej; gdyż byłoby to zwężeniem programu, ścieśnieniem treści pisma, podczas gdy mnie chodzi, jeśli to jest możliwem, o rozszerzenie zakresu jego działalności.

Niech „Promień“ mówi, jak dawniej o „wielkich masach ludowych“, „o społeczeństwie, o prawach, obowiązkach i zadaniach obywatelskich, o walkach, które wrą na szerokim świecie“ — niech mówi o tem wszystkiem, ale niech mówi także młodym koleżankom naszym, a nie tylko kolegom, jak dawniej.

Bo przecież te dzisiejsze studentki, o których była mowa, to są dopiero pionierki kobiecego ruchu w naszych uniwersytetach.

Ale oto w Galicyi mamy już trzy gimnazya żeńskie z programem męskim (z tych jedno rządowe już — w Krakowie) i za rok, za dwa najwyżej pojawi się w uniwersytecie cały zastęp zwyczajnych słuchaczek, które, gdy wejdą w życie akademickie, obejmą — powinny objąć przynajmniej — wszystkie prawa i obowiązki, jakie z tem życiem się wiążą.

Przez brak inicyatywy mogą one wszakże zastosować się do tych warunków, jakie się już ułożyły.

Można i trzeba zrobić tak, żeby było inaczej.

Ten sam Promień, co zabłysnął jasno wśród ogólnej martwoty i apatyi, w jakiej pogrążona jest młodzież dzisiejsza, powinien zaświecić też drugiej połowie tej młodzieży dziewczętom polskim; — a może przy świetle tego promyka dostrzegą one mur chiński, jakim są odgrodzone od świata i życia, może zapragną go przekroczyć, stać się ludźmi i obywatelami.

A ludzi i obywateli potrzeba nam bardzo. Po nad drobnymi celami w życiach jednostek, po nad troskami i radościami dni codziennych nam wszystkim przyświeca cel jeden — wielki — prawdziwie godzien życia — tym celem jest odzyskanie wolnej i niepodległej Ojczyzny naszej.

My, Polacy, jesteśmy w tem szczęśliwem położeniu, że dla nas cel ten zbiega się ze wszystkimi wielkimi celami, jakie człowiek w życiu postawić sobie może. Zdążając do niego drogą postępu i reformy, opierając nadzieję wyzwolenia na ludzie pracującym — na chłopach i robotnikach, — my wszyscy wiemy i wierzymy w to mocno, że chwila wyzwolenia Ojczyzny naszej będzie zarazem chwilą tryumfu dobrego nad złem, sprawiedliwego nad niesłusznem, będzie chwilą zniesienia wszelkiego ucisku i niewoli, będzie chwilą wyzwolenia mas ludu pracującego, — będzie też chwilą wyzwolenia i nadania wszystkich praw ludzkich — kobiecie. — Zanim jednak to się stanie, zanim jej się te prawa naturalne dostaną, powinna ona wykazać, że na nie zasługuje, powinna dziś już zaciągnąć się w szeregi walczących i wraz z nimi pracować dla przybliżenia tej chwili wielkiej.

Droga do tego celu trudna, ale szczytna. Tysiące po niej szło przed nami, torując nam drogę, znacząc częstokroć ślad swój krwią własną, okupując trud swem męczeństwem. Były między nimi i kobiety. Gdy znużeni powszedniemi utarczkami z życiem wzrok duchowy zwracamy w przeszłość, by wspomnieniem minionej wielkości zatrzeć małość i nędzę dnia dzisiejszego, spotykamy w orszaku mar wielkich, jasnych, często krwawych, taką postać bohaterską Platerówny, lub słodką wyrazem miłości i poświęcenia twarz Klaudyny Potockiej. Takich jest i było więcej. Wszakże są i były to wyjątki. Trzeba, aby wyjątek stał się regułą. Bo prawdziwie, choć smutno mówi poeta:

„Hej! odłogiem leży nasza rola —
„Choć są ziarna — niema rąk do siania...
„Twardą będzie dzieci naszych dola
„Twardą będzie, pełną krwi i łkania“...

Trzeba nam rąk, trzeba pracowników. Nie wolno tracić czasu na wznoszenie cieplarni, by w nich sztucznie hodować egzo-

tyczne kwiatki, kiedy naokół szaleją burze i wichry, z któremi wszyscy zarówno mocować się powinni.

Studentka.

Na obczyźnie.

(Wspomnienie.)

Pan Majewski wyszedł na ganek i klasnął w dłonie.

W tej chwili, jak z pod ziemi zjawił się przed nim wyrostek tatarski w płóciennych hajdawerkach i białej, wolno puszczonej koszuli. Na głowie miał aksamitną, srebrem lamowaną tibitiejkę [1]), w ręce trzymał topór.

— Czewo, barin? [2]) zapytał, uśmiechając się i patrząc gospodarzowi bystro w oczy.

— Gdzie Józef? spytał pan Majewski.

— W drwalni, odrzekł spokojnie chłopiec i stał, z nogi przestępując na nogę.

Bose jego stopy grzęzły w białym, rozpalonym piasku. Pot spływał mu kroplami po ogorzałej twarzy.

Pan Majewski po kilku schodkach zszedł na dół, poklepał przyjaźnie chłopca po ramieniu i z nim razem udał się przez podwórze w kierunku długiej szopy, plecionej z chróstu i obrzuconej z wierzchu gliną.

Była to drwalnia. Pod ścianą leżało w niej kilkadziesiąt wąskich, osikowych pniów, bieliło się kilka szczap brzozowych — ostatnich szczątków wątłych lasów i gajów baszkirskich nad Sakmarą [3]) i stał, jak mur, stos wyschniętych cegiełek kiziaku. [4])

Na środku Józef zapamiętale drwa rąbał. Ogromna jego postać rytmicznie pochylała się, to znów podnosiła, z szerokiej piersi za każdem uderzeniem toporu wydobywało się głuche stęknięcie, muskularne ręce trzymały ciężkie narzędzie mocno i pewnie.

---

[1]) Tibitiejka — mała, okrągła czapeczka (krymka), którą tatarzy nakrywają głowy.

[2]) Po ros. „co, panie?“

[3]) Rzeka w gub. Orenburskiej, dopływ Uralu.

[4]) Są to cegiełki z nawozu i słomy, wyschnięte i stwardniałe, których ludność stepowa używa, jako materyału opałowego.

— Józef! zawołał pan Majewski, stając w progu.

Chłop machinalnie topór opuścił, wyprostował się i z uśmiechem obtarł rękawem koszuli twarz, zlaną potem.

Była to poczciwa i jasna twarz chłopa podlaskiego, okolona dużą brodą, która mu wyrosła tutaj, w stepach, zdala od kraju i wsi rodzinnej. Oczy jego niebieskie patrzały z jakąś tęsknotą, jakby biegąc ustawicznie ku tym smugom pól zielonych, które opuścił kilkanaście lat temu. Brwi trochę były ściągnięte, a na czole zaznaczyła się już dobrze prostopadła, głęboka brózda, jakby na świadectwo, że smutne myśli przechodziły nieraz przez tę głowę, co nie przywykła do żarów wschodniego słońca.

— Józef, powtórzył pan Majewski.

— Jestem, odparł zagadnięty.

— No, to idźże do domu, ogarnij się trochę, a potem przychodź do pani.

Tam są panowie z Warszawy, pogadasz z nimi...

Józef aż drgnął. Na twarz uderzyła mu w jednej chwili łuna jakiejś ogromnej radości. Z rozmachem topór w kąt cisnął i pobiegł w stronę oficyny.

Wyrostek tatarski spojrzał za nim i pokiwał głową.

— Bel mej [1]) — mruknął i zaczął ciosać toporkiem drążek do tarantasu. [2])

Pan Majewski wrócił tymczasem do domu.

W pokoju, w którym panował półmrok, bo wszystkie okiennice były przymknięte, dokoła stołu siedziało towarzystwo.

Pani Majewska, jej córka panna Marya i dwóch studentów, świeżo przybyłych w te strony.

Rozmowa toczyła się o kraju.

Młodzi ludzie pod wpływem ciągłych pytań pani Majewskiej już zaczynali tęsknić, a tęsknota ta ożywiała ich twarze i nadawała dziwny urok opowiadaniom o tem, co się dzieje nad Wisłą, nad Bugiem i w samem sercu Polski — w Warszawie.

Pani Majewska słuchała z rozrzewnieniem. Czasem przymknęła oczy i zdawało

---

[1]) Po tatarsku: nie rozumiem.

[2]) Tarantas — półkosz na drążkach, rodzaj naszej bryczki bez resorów.

jej się wtedy, że słyszy dzwony w kościołku wiejskim, grające na anioł pański, że widzi pola, bujnym szumiące kłosem, słyszy pieśń dożynkową, czuje zapach żywiczny boru, aromat lip w ogrodzie, ciepły powiew wiatru, co w wieczór letni falą płynie od wsi ku dalekim, czerniejącym na widnokresie lasom... To znów zdawało jej się, że siedzi na ganku tak, jak dawno, dawno już temu, siedzi wpatrzona w gwiazdy, co mrugają na ciemno-szafirowem niebie i słucha, jak ojciec jej żywo naradza się o czemś z sąsiadem, że widzi, jak potem wozy ładowne wyjeżdżają w stronę boru — i nagle obraz ten przysłania jej krwawa łuna pożaru... Po chwili z łuny tej wychodzi ku niej Jaś Majewski, jej mąż, z raną krwawą na piersi, bierze ją za rękę i idą, idą gdzieś daleko. O uszy je biją dzwonki kibitek, obcą dokoła słychać mowę, a nad wszystkiem, co było— jakaś mgła się unosi, nieuchwytna, szara, smutna mgła.

Staruszka czuje, jak łza jej po policzku się toczy...

Panna Marya zepsutym polskim językiem wypytuje się o to i owo, ale dość obojętnie, bo kraju nie zna. W niej jest tylko ciekawość, ale niema tęsknoty, niema tego rzewnego przywiązania, co idzie w ślad za człowiekiem przez życie całe z obrazem jego wsi rodzinnej, z pieśnią piastunki nad kołyską, z matki pacierzem...

— Ot, dwa pokolenia — myśli jeden ze studentów. Co za różnica, co za różnica...

— A gdzież ten Józef? pyta drugi, patrząc na powracającego Majewskiego.

— Zaraz tu będzie, mówi gospodarz i podchodzi do żony. Drżącą ręką gładzi jej srebniejące, posiwiałe w troskach i zawodach włosy i pieszczotliwie, pochylając się nad nią, szepce:

— Tak, tak, moja Helenko...

Wtem u drzwi odzywa się nieśmiałe pukanie.

Po chwili staje w nich Józef... Spotkany przyjaznem spojrzeniem kilku par oczu, ośmiela się i podchodzi bliżej.

— Niechże Józef siada z nami, odzywa się pani Majewska.

Józef ciężką i niezgrabną swoją figurę umieszcza ostrożnie na brzegu krzesła i słucha...

Rozmowa toczy się dalej wartko, nieprzerwanie.

— A wy z których stron? pyta Józefa Karnicki, wesoły blondyn z rozwichrzoną czupryną, który się już pogodził z tem, że ma trzy lata spędzić w stepie i trzy lata tęsknić za swoim dyplomem i za swoją Hanką.

— Z Poręby, mówi Józef... I ten wyraz P o r ę b a tak mu drży na wargach, jak święte jakie słowo, które wypowiada z obawą, czy nie dopuszcza się przez to wielkiej profanacyi.

— Znam, znam, mówi Karnicki, to tylko przez las od nas.

— Aaa — to pan z Rudni będzie?

— A tak, tak, z Rudni, odpowiada ożywiając się Karnicki.

Józef patrzy na niego ze zdumieniem.

— To pan może pana Karnickiego syn?

— A syn, syn... A wy znaliście ojca?

— Od maleńkości. W stajnim był w Rudni, a potem, jakem w Porębie pobereźnikiem, borowym znaczy, został, tom z panem na kaczki, na jezioro Tumańskie zawsze chodził...

Co to za jezioro... woda czysta, zimna... Szuwary się po brzegach chwieją, a na środku, jak szkło. W słońcu — to jak b r y l i a n t y się iskrzy, a w noc pod księżyc, jak srebrna cała... Takiej wody tu niema. Tu w stepie nic — ani lasów naszych, ani wody. Pusto. Przedpiekle i tyle. Nic niema. Tfy! Taki i kraj...

Zasępiła się twarz Józefa.

— Nijako tu, mówił dalej. Piasek i skwar co każde zboże spali, co trzeci rok nieurodzaj i głód. W lato g o r ą c, że człowiek tchu chwycić nie może, a w zimie mróz, że jak wyjdziesz, a wiatrem trochę z północy powieje, to jakby ci kto rozpalone spilki w gębę wbijał. Tężeje ziemia, a buran po niej hula, szatański posłaniec. Dwa kroki od domu na ulicy jesteś, a nie trafisz, tak ci oczy zaślepi, tak cię wkoło będzie wodził.

A w polu cię zaskoczy — to i śmierć. Sam widziałem raz, jak kirgiza baszkiry ze śniegu z wielbłądem razem wydobyli. Z a n i o s ł o go i dopiero jak od K a s p i j a ciepły wiatr przyszedł i śniegi topnieć zaczęły— trupa znaleźli.

— A was co tu zagnało? pyta Karnicki.

— A cóż, jak nie u k a z. Czterdzieści rodzin nas wywieźli, „opornych“, i tu pod

dozór oddali. W gubernii jest nas 16 ludzi z kobietami i z dziećmi, a reszta po powiatach... W Preobrażeńsku trzech siedzi, a inni pod Troickiem, pod Czelabą — tam najwięcej, bo najdalej będzie. Ot, i żyjem...

— A nie gnębią was tutaj?

— Gnębią nie gnębią, wszystko my swoje już odcierpieli. Teraz jest i żyć z czego, niejeden się już grosza dorabia; młodym to nawet i dobrze, ale nam, co my jeszcze kraj rodzony pamiętamy, to ckni się... O-o-o, mówił Józef przeciągle — i jak się ckni. Pobędziecie tu rok, dwa — sami zobaczycie...

Tu westchnął chłop i spojrzał tęsknie na Karnickiego.

— Nie Poręba to, nie Poręba, ani wasza Rudnia, panie. Inny kraj. I za co one nas psiawiary od rodzonej ziemi odrywają? Najprzód bili, potem z więzienia do więzienia przez pół roku gnali, potem taką nam wolność dali, że od niewoli gorsza. I to bez s r o k u, bez terminu, panie, — ani człowiek wie, kiedy wróci. Łaskawości dla nas niema. Dla zbójów i złodziei ona, nie dla nas. Sprawiedliwości nijakiej w tym kraju. Mówią: „opornym“ nie bądź, to i wrócisz... A ino — do cerkwi my im pójdziem, popu się będziem kłaniać.

Oczy Józefowi błysnęły jakimś ogniem dziwnym, złość i zapamiętałość oświeciły na chwilę źrenice jego, że się stały podobne do oczu rysia. Pięść zacisnął i zamilkł posępny.

Karnicki zaczął mu opowiadać o wsi rodzinnej.

Godziny biegły szybko. Chłop rzucał tysiączne pytania. Rozpromieniał się w toku rozmowy, to smutniał i ukradkiem łzę z powiek ocierał.

— Stary Grzegorz umarł, mówił, smutnie kiwając głową. A Jędrek?

— Jędrka dwa miesiące temu zabrali, bo wieczorami ludziom książki p o l s k i e czytywał. Zabrali jego i dwóch jeszcze, Zarembę i Witka, do Siedlec powieźli i tam pod śledztwem są...

— Mój Boże, mój Boże — szeptał Józef i czoło ręką pocierał. A ksiądz z Horodyszcza? zapytał.

— O, dwa lata jak go już w Sybir wzięli, bo djak z Antonowa doniósł, że unickie dzieci chrzci i śluby daje. W Kańsku jest, daleko. Nigdy może nie wróci...

— Psiawiary, psiawiary — powtarzał chłop i białe zęby zaciskał, aż mu zgrzytnęły czasem, jakby chciał kąsać i rwać na kawały tego nieprzyjaciela, co w jego okolicy się rozpanoszył...

— Psiawiary, powtarzał za nim mimowolnie Karnicki.

— A psiawiary, mówił Józef. Niedoczekanie ich. Na nasze zagony weszli, ale nie będą naszej ziemi orać. Panu Bogu naszemu, Jezusowi i Pannie Najświętszej kościoły zamykają. Niedoczekanie ich.

Karnicki słuchał i w duszy rosła mu jakaś dziwna wiara, której nie znał dotychczas.

Ten chłop — wygnaniec, wspominający ze łzami wieś rodzinną i zaciśniętą pięścią wymawiający przez białe i mocne, jak kły dzika, zęby straszne „niedoczekanie ich“, wydał mu się symbolem tej siły groźnej, co ruszy kiedyś i gryźć i szarpać będzie swoich ciemięzców.

— Oni, oni sami to zrobią, bez nas, szeptał. Co my możemy wobec nich? Nie obudzimy nawet takiego, który się sam nie obudził, myślał.

A przed oczami przewijały mu się obrazy Rudni i Poręby, smugi zboża zielonego, las szumiący, wieś cicha o zachodzie słońca, skrzyp żórawia u studni, zapach łąki skoszonej i jakieś coś... coś nieokreślonego, co mu w duszę wrosło tak mocno, że mu tego do śmierci nikt i nic nie wyrwie...

* *
*

Wieczór zapadł i roztoczyła się nad miastem jasna, cicha noc wschodnia.

Muezzin z pobliskiego meczetu wywołał ostatni raz swoje „A k b e r A ł ł a c h“, żałośnie rozciągając sylaby w donośnem „H a j c o l e S a l o c h“. Głos jego umilkł i rozpłynął się po zaułkach, w których stało duszne, gęste powietrze letniego wieczora.

Ulice zaczęły się ożywiać, gwiazdy błysnęły na niebie.

Z K a r a w a n-S e r a j u dolatywały dźwięki wojskowej orkiestry, zdaleka słychać było śmiech oficerów i brzęk szkła...

Karnicki z towarzyszem wracali do hotelu.

Jutro przedstawią się gubernatorowi, pojutrze pojadą dalej.

Dokąd? Do Orska, Troicka, Czelaby? Wszystko jedno...

Szli w milczeniu, zmęczeni dniem i tyloma wrażeniami.

Nagle Karnicki się zatrzymał.

— Słuchaj, Stachu, rzekł, biorąc za rękę towarzysza.

— No, odparł tamten...

— Słuchaj! wiesz, że ja nie wiedziałem dotąd, co to jest ojczyzna, mimo, że za nią i dla niej przecież tu jestem. O, my błądzimy — my wszyscy, my młodzi. Ale dość spotkać takiego Józefa, takich Majewskich i pogadać z nimi — dość spotkać, powiadam, jednego chłopa polskiego na obczyźnie, żeby się nauczyć czuć i myśleć po polsku...

W tej chwili w parku miejskim wystrzeliła rakieta i po niebie rozsypał się cały snop barwnych iskier. Towarzyszyło mu przeciągłe, głosne a a a rozbawionego tłumu.

— Niedoczekanie ich, szepnął Karnicki i, uścisnąwszy mocno rękę przyjaciela, dodał:

— A jednak dziś dopiero jestem pewien, że przyjdzie na nich dzień sądu — i trzeba było takiego Józefa dopiero i jego łez na wspomnienie Poręby, żebym w sobie to przekonanie wyrobił... *Zdzisław Dębicki.*

Co robić?

„Bór" powieść Wacława Żmudzkiego.

My w dobie obecnej przeżywamy wielkie chwile — jesteśmy świadkami wielkiego procesu psychicznego, jaki odbywa się w dolnych warstwach naszego społeczeństwa — procesu budzenia się świadomości ludzkiej i narodowej w robotniku i chłopie. Chłopi pod tym względem są więcej upośledzeni od robotników miejskich, mniej są uświadomieni co do swojej politycznej i ekonomicznej niewoli.

Ale i na nich przyszła już pora ocknięcia się z wiekowego uśpienia. Ten to moment psychiczny w rozwoju duchowym chłopów polskich przedstawia Wacław Żmudzki w powieści swojej „Bór".

Bohaterem powieści jest Ignac znajda, syn durnej Magdy, „zaprzeczonej",[1]) która pobita przez popa zmarła w kryminale.

Sierota od niemowlęctwa, Ignac wychowywał się z początku u wójtowej, potem u starego proboszcza, który wraz z Łatkiem nadleśnym prowadził we wsi tajną agitacyę, rozdając chłopom nielegalne książki, przemycane z „tamtej strony" — z Galicyi.

Opowiadania starego Jana, byłego powstańca, który na własnem ciele pokazywał chłopcu szramy pozostałe od kozackich nahajów, — czytanie książek nielegalnych, — wpływy Łatka i proboszcza rozwinęły w chłopcu w wysokim stopniu świadomość narodową, świadomość krzywd, doznawanych od moskiewskich najeźdźców. — Gdy jednak stary Jan umarł, gdy niezadługo potem proboszcza aresztowano i wywieziono na Sybir, gdy Łatek, człowiek chory na ciele i na duszy, odsunąwszy się od ludzi i spraw społecznych, zdziczał i stetryczał zupełnie, — Ignac pozostał sam, — pozostał z tem rozbudzonem już uczuciem miłości do swoich, nienawiści do wroga, z wielkiem pragnieniem zemsty i — zupełną nieświadomością tego, co mu czynić należy. Pytanie: co robić? nie odstępowało go ani na chwilę. Odepchnięty szorstko przez Łatka, widząc, że ludzie nie dadzą mu odpowiedzi na męczące go zagadnienie — chłopak wszystkie chwile spędzał na samotności, w lesie, którego miał strzedz w zastępstwie Łatka. „Historyę boru starego, który niegdyś przed laty często rozbrzmiewał echem rozpacznej walki o niepodległość, znał on już oddawna, jeszcze z opowiadań starego Jana." — I oto teraz, gdy tak czasem leżał sam w borze, „w duszy jego jak żywe odtwarzały się te dawno zapomniane dzieje. Słyszał je w cichym szmerze liści, które co dnia o wieczornej porze, żegnając się z zachodzącem słońcem, drżały na szczytach drzew, jakby je zdejmowała trwoga przed tą czarną nocą, wśród której z pod ziemi, krwią niewinną zbluzganej, dobywały się głuche jęki, i krwawe widziadła snuły się po mrocznej leśnej przestrzeni. Wygrywał mu je wiatr, przelatujący między drzewami, szeptały trawy leśne, ciągnące soki z kości pomordowanych, a gdy górą przeciągała burza, i czarny bór stęknął, jemu się zdawało, że słyszy jęk, wychodzący z mnogich tysięcy piersi, dla których własna ojczysta ziemia była ciężką, bo ją wroga stopa splugawiła..."

---

[1]) „Zaprzeczonymi" nazywa lud nasz unitów, których rząd moskiewski gwałtem „nawraca" na prawosławie.

I nie wiadomo, czy z tych szumów leśnych, tajemniczych a strasznych, czy z szmeru własnych uczuć, myśli i wspomnień bolesnych, — po jakiejś nocy bezsennie w lesie spędzonej — upragniona mu przyszła odpowiedź, —,, i naraz jasność napełniła tę biedną duszę zbłąkaną, jasność taka, że Ignac leżał przez chwilę jakby w zachwycie, olśniony, drżąc na całem ciele od tej myśli ożywczej, która się w niego, jakby wprost z nieba sączyła:

— Czegoż on szukał dotąd? czyż nie miał tego wszystkiego w sobie samym? nie miał miłości w sercu, zdrowych nóg i sił młodych? nie mógłże iść od sioła do sioła, od chaty do chaty, jak ten kraj długi i szeroki, zagrzewać ostygłe serca tą miłością swoją, budzić w nich myśli i czucie?“...

I Ignac poszedł. Poszedł od chaty do chaty ogrzewać serca braci miłością, budzić w nich myśli i czucie. Gromadząc chłopów, mówił im o tej naszej krwi serdecznej, „co płynie nieustanną pienista strugą, odkąd tylko wróg krwiożerczy nad nami zapanował“, co zrosiła już „niezmierzone śnieżne pustynie Sybiru, obryzgała gorącemi kroplami każdy kamień w murach kazamatów moskiewskich.“ Mówił im o ziemi naszej, że „ta ziemia, w której spoczywają kości naszych ojców, nie jest już więcej naszą, bo tylko wróg tuczy się na niej. My chleba musimy szukać za dalekiemi morzami, dla nas na niej niema przytułku... My ze wszystkiego jesteśmy wyzuci, nam nic nie wolno“...

Tak wyliczał Ignac „krzywdy nieprzeliczone“, dla nas może aż nadto już stare i wiadome, lecz nowe i straszne dla chłopów co go słuchali, dla tych ludzi prostych, co przywykli dotąd patrzeć na ucisk i niewolę, jak na złe konieczne, co przywykli w swej ciemnocie chodzić w jarzmie z pochylonemi kornie karkami, nie śmiejąc oczu wznieść na słońce, nie przypuszczając, że i oni mają prawo pić blaski jego świetlane i ogrzewać się w jego promieniach...

Działalność Ignaca niedługo się ciągnęła. Wskutek „donosu“ popa aresztowano go i wywieziono na Sybir. Zostały jednak ziarna zemsty, które w duszach chłopskich, przezeń zasiane, kiełkować już zaczęły, zostały słowa jego ostatnie, któremi pożegnał lamentujących:

— „Niech łzy zostaną dla słabych,dla tych spodlonych, co tylko płakać i żebrać potrafią. Wy macie pięść, ciężką, napracowaną chłopską pięść... Jej tylko ufajcie, a przyjdzie kiedyś czas, że pryśnie pod jej uderzeniem czaszka naszego wroga, jak bańka mydlana!“

Powieść, rozpoczęta opisem poniewierki i krzywd znoszonych przez Magdę i Ignaca, kończy się głuchym pomrukiem niezadowolenia i groźby, niby grzmotem dalekim, zwiastującym burzę.

Cała idea powieści streszcza się w słowach proboszcza, wyrzeczonych do Łatka: „Lud dzisiaj nie ma jeszcze głowy, nie wie dobrze, czego się trzymać. Lecz gdy raz nabierze więcej świadomości, gdy pozna całą swoję siłę, oj wtedy wszystkie te dawne nabolałe krzywdy, cała nienawiść, która, jak grzyb, coraz więcej narasta w jego sercu, wybuchnie z taką niepowstrzymaną mocą i tak niespodziewanie zarazem, że cała ta wroga potęga, której Napoleony nie były w stanie zdławić, od gniewu tego ludu zgaśnie odrazu, jak zdmuchnięta świeca.“

— A „chwila taka“ — jak mówi Ignac— „niedługo nadejdzie“...

Trzeba wiedzieć, że Ignac nie jest tworem jedynie literackiej fantazyi autora, nie mającym odpowiedniego typu w rzeczywistości. Ludzie wiarogodni opowiadali mi o trzech takich agitatorach chłopskich, jakim Żmudzki przedstawia swego bohatera, — sposób ich działalności i koniec ich ten sam był, co Ignaca.

Wobec tych więc chwil przełomowych, jakie obecnie przeżywamy, wobec tych chwil wielkich, jakie dla nas niewątpliwie się zbliżają, wobec tych coraz liczniej u nas zjawiających się chłopów — obywateli, nie posiadających nic, prócz „miłości w sercu, zdrowych nóg i sił młodych“ i ofiarujących bez wahania to wszystko Ojczyźnie — jakże marnemi wydają się wymówki różnych „zdekadenciałych „filistrów i karjerowiczów, którzy tłomacząc się z czynionego im zarzutu egoizmu, odpowiadają, że i bez nich jest dość „społeczników“ — oni zaś nie mają nawet co robić. Bo przecież każdy rozumie, że u nas roboty jest aż nadto, i jeśli znajdują się ludzie, nie wiedzący „co robić“, to tylko dlatego, że małe własne ich „ja“ widnieje niby ciemna plama na słonecznej perspektywie dobra społecznego i sobą zasłania

cel wielki. Tacy ludzie ze strachu przed niebezpieczeństwem, czy w widokach własnej korzyści gotowi w każdej chwili zdradzić sztandar swój i opuścić szeregi walczących w imię ideału. Ale to są ludzie mali, nędzni egoiści, na których liczyć nie można i o których mówić nawet niema potrzeby. Kto walczy, kocha, cierpi i czuje prawdziwie za miljony, ten w każdej chwili z całem przekonaniem powtórzy za poetą:

„I ten szczęśliwy, kto padł wśród zawodu,
„Jeżeli poległem ciałem
„Dał innym szczebel do sławy grodu!“

Zabierając się wszakże do pracy nad ludem, powinniśmy o tem pamiętać, że jeśli te masy chłopskie i robotnicze dadzą nam impuls do ruchu, nadadzą ruchowi naszemu tę siłę żywiołową, tę wściekłość i ten rozmach, bez którego niema prawdziwej rewolucyi, to zadaniem naszem, zadaniem inteligencyi będzie ruchem tym owładnąć, nadać mu myśl rozumną i skierować go we właściwe łożysko. Ażeby zaś temu zadaniu módz sprostać, powinniśmy przedewszystkiem się uczyć, bardzo dużo się uczyć. Musimy poznać dobrze historyę naszych powstań, aby zrozumieć stare błędy i módz na przyszłość uniknąć ich powtórzenia, — musimy zgłębić wogóle dzieje ojczyste i dzieje powszechne, musimy studyować nauki społeczne, zwłaszcza najnowsze prądy nauk tych, aby same tylko zdrowe ziarna zasiewać w dusze ludu, aby umieć wybrać tę drogę, która najprędzej i najpewniej doprowadzi nas do celu — do wywalczenia całej niepodległej ludowej Rzeczypospolitej polskiej.

Teren do pracy jest rozległy.

Sama choćby Lubelszczyzna, gdzie odbywa się akcya w powieści „Bór“, przedstawia nader podatny materyał do pracy w tym kierunku.

Ucisk rządowy, krzywdy i prześladowania religijne nagromadziły tam w sercach ludu cały zapas goryczy, żalu i niechęci do ciemięzcy, a to jest taki materyał palny, dla którego tylko iskry potrzeba, żeby zeń wybuchnął płomień rewolucyi.

Robert Bunsen.

Siedemnastego b. m. zmarł w Heidelbergu — ostatni ze świetnej plejady znakomitych chemików, którzy, stojąc sami za lat akademickich u kolebki chemii nowoczesnej, przyczynili się przedewszystkiem do jej potężnego wzrostu.

Szkoła, do której należał Bunsen i jemu współcześni chemicy Hoffman, Lotar Meyer, Kekulé, Fresenius, Horstmann etc. cechuje szeroki zapas gruntownych wiadomości ze wszystkich działów nauk przyrodniczych. Chemicy z tej szkoły znają dobrze obok chemii, fizykę, botanikę, mineralogię, geologię i fizyologię. Byli to przeto przyrodnicy - encyklopedyści i tem się zasadniczo różnią od nowoczesnych chemików, którzy wskutek niepomiernego wzrostu wiedzy chemicznej stać się musieli specyalistami. Z czasem atoli specyalizowanie to stało się wprost monstrualnem, mamy dziś profesorów specyalistów nie tylko od poszczególnych działów chemii: organicznej, mineralnej, analitycznej, teoretycznej, lecz nawet od poddziałów, jak np. w chemii organicznej chemików, zajmujących się wyłącznie grupą tłuszczów lub związków aromatycznych, a są i tacy, co pracują w jeszcze bardziej ograniczonym zakresie, np., tylko nad cukrami, lub terpenami, albo pochodnemi ciał diazo, albo znowu wielozasadowymi kwasami i t. p. Takie specyalizowanie się, aczkolwiek nie pozbawione racyi, jest szkodliwem, zwęża bowiem widnokręg, rodzi kretynizm naukowy, nie dozwalający stawiać większych uogólnień, to zaś znowu robi naukę, nie wiedzą, ale raczej spisem często luźnie zestawionych formułek.

W najnowszych czasach da się atoli zauważyć silna reakcya przeciw takiemu rozspecyalizowaniu się i najmłodsze pokolenie uczonych chemików staje się znowu bardziej encyklopedycznem, taką jest naprzykład młoda szkoła fizyko - chemików. Dążąc do zlania w jedną całość fizyki i chemii, opierają się równocześnie na uogólnieniach ujętych we wzory matematyczne, a więc muszą posiadać rzetelne wiadomości i z chemii, i z fizyki, i z matematyki.

Z tą właśnie najmłodszą szkołą fizyko-chemików był Bunsen przez swe prace ściśle spokrewniony. Wogóle był on jednym z najwybitniejszych twórców chemii teoretycznej,

która w następstwie miała się rozwinąć w samoistną naukę: chemię fizykalną. Szereg kapitalnych prac z zakresu zjawisk, towarzyszących reakcyom chemicznym, położył fundament pod budowę nowoczesnej chemii fizykalnej. Do rzędu tych prac należy przedewszystkiem wspólnie z Kirchhofem odkryta i opracowana analiza spektralna, która rozwiązała liczne zagadki z astrofizyki. Nie umiano sobie poprzednio wytłumaczyć, skąd pochodzą czarne linie w barwnem widmie słońca; dopiero Bunsen i Kirchhof udowodnili, że pochodzą one wskutek absorbcyi pewnych barw przez pary różnorodnych pierwiastków ulotnionych w fotosferze okalającej słońce. W ten sposób wykryto wszystkie nicomal nam znane na ziemi pierwiastki w fotosferze.

Analizę spektralną zastosowano także i do rozbioru chemicznego; wykazuje ona bowiem łatwo bajecznie małe, przy pomocy innych metod nieuchwytne ilości pierwiastków. Aparat spektralny jest dziś niezbędnym instrumentem zarówno w pracowniach fizycznych i obserwatoryach astronomicznych, jakoteż i laboratoryach chemicznych i fizyologicznych.

Badania nad absorbcyą gazów doprowadziły Bunsena do nader ścisłej objętościowej analizy gazów. Spostrzeżenie nad spaleniem się ciał w mniejszej, niż teorya wymaga, ilości powietrza (tlenu), dały znowu podstawy do nader ciekawych spekulacyi nad powinowactwem chemicznem.

Gazy były wogóle ulubionym przedmiotem dociekań naukowych Bunsena, a każda taka praca, choćby na pozór nawskroś teoretyczna, doprowadzała w rezultacie do różnorodnych, a nader praktycznych aparatów, przyrządów, którymi się po dziś dzień posługujemy. Oto kilka przykładów: obserwacye nad chyżością dyfuzyi gazów przez małe otwory i porowate przepony, dały w praktyce piękny aparat do mierzenia gęstości gazów. Doświadczenia fotochemiczne*) doprowadziły do zastosowania światła magnu, bogatego w promienie aktywne**), do fotografii, i dalej do skonstruowania aparatu w celu mierzenia siły światła — „fotometru“. Pracownie chemiczne są przepełnione przyrządami pomysłu Bunsena — na każdym kroku napotykamy je i oddały już one ogromne usługi — przypomnę tu np. „palnik Bunsena“, który zastąpił dawniej używane lampki spirytusowe. Jeden z analityków słusznie twierdzi, że palnikowi temu przedewszystkiem zawdzięcza chemia swój niesłychanie szybki postęp. Bunsen był bez zaprzeczenia geniuszem pomysłowym!

We wszystkich działach chemii i pokrewnych z nią nauk pozostawił Bunsen ślady swej twórczej pracy i swej pomysłowości. Oprócz bowiem prac powyżej wymienionych, wchodzących w zakres zarówno fizyki, jak i chemii, wspomnę tu jeszcze o doświadczeniach nad elektrolyzą soli z grupy sodowców i wapniowców.

Chemię organiczną wzbogacił klasycznemi robotami syntetycznemi: odkrył bowiem grupę kakodylów*) i jemu zawdzięczamy pierwsze dokładne badania pochodnych arsenu. W chemii nieorganicznej doświadczenia nad arsenem. W chemii analitycznej nazwisko Bunsena spotykamy na każdej niemal stronicy: cały szereg metod i przyrządów, którymi się wciąż posługujemy, pomysłowość Bunsena stworzyła. Doświadczenia fizyologiczne doprowadziły do zastosowania soli żelazawych, jako antidotum przeciw zatruciu arszenikiem.

Podróż do Islandyi dała badawczemu i wszechstronnie z naukami przyrodniczemi obeznanemu Bunsenowi możność robienia ciekawych spostrzeżeń nad geologiczną budową tej wyspy, które streścił w listach, pisanych do słynnego fizyko-chemika szwedzkiego Berzeliusa.

Jednem słowem Bunsen był panteonem wiedzy przyrodniczej, encyklopedystą w najlepszem tego słowa znaczeniu i to mu pozwalało wnikać w głąb przyrody i czerpać stamtąd zakryte przed specyalistą ogólne prawa.

Karyerę naukowa rozpoczął Bunsen docenturą w Getyndze, skąd powołany został

*) Fotochemia — nauka, zajmująca się chemicznemi zmianami ciał pod wpływem światła.

**) Nie u wszystkich promieni działanie chemiczne, np. na płytę fotograficzną, jest jednakowe. Dlatego odróżniamy promienie chemicznie czynne (aktywne) i nieczynne (inaktywne) z całą skalą odcieniów.

*) Kakodyl, jest to gaz nadzwyczaj trujący, o bardzo niemiłej woni, z szeregu związków organicznych o wzorze $\begin{matrix}As\ (C\ H_3)_2\\ As\ (C\ H_3)_2\end{matrix}$ Tworzy on cały szereg pochodnych.

(w 1836 r.) na prof. chemii do politechniki w Kassel, a następnie do uniwersytetu w Marburgu i Wrocławiu, a stamtąd do Heidelbergu (1852 r.). Miasto Berlin, gromadząc na swym uniwersytecie najwybitniejszych profesorów, nie mogło mimo zabiegów zdobyć Bunsena, nie lubił on prusaków i pozostał *usque ad finem* wierny starej wszechnicy nad Nekarem. Aureola zasłużonej sławy naukowej obok krasomówstwa i pewnej oryginalności, cechującej ludzi oddanych całą duszą nauce, były powodem, że audytoryum jego i pracownię młodzież szczelnie zapełniała. W wykładach przeplatanych „witzami“ i pouczającemi wycieczkami w dziedziny pokrewne chemii, był niezrównany, w zręczności w przeprowadzaniu doświadczeń, któremi swe wywody popierał, nikt mu nie mógł sprostać!

O klasycznem roztargnieniu Bunsena opowiadają setki anegdot. Powiadają, że się nie ożenił, nie dla tego żeby nie miał ochoty, lecz jedynie z powodu roztargnienia: zajęty pomiarami objętości gazów, spóźnił się na ślub do kościoła, obrażona panna młoda odesłała mu pierścionek, a rozgoryczony Bunsen został starym kawalerem. Bunsen to ostatni z Mohikanów, to ostatni z tego typu starych niemieckich profesorów, co nietylko wiedzą i zamiłowaniem do nauk, lecz i gorącem sercem i ideałami piastowanymi w duszy, umieli młodzież przyciągnąć i przywiązać do siebie i do wiedzy, której rzecznikami byli!

Dr. Jan Roszkowski.

KORESPONDENCYE.

Echa strejku w szkole realnej.

Z młodzieżą załatwiono się po drakońsku. Dwóch wydalono, jeden odsiedział 16 godzinny areszt, reszcie popsuto „obyczaje“. Nadto słabsze charaktery obałamucono — poświęcając nawet w tym celu prawdę; przekonywano uczniów, że Grek ich okłamał. Tymczasem rzecz była tak jasną, że większa część uczniów miała przekonanie, że panowie pedagogowie mijają się z prawdą. Więc cóż my wyniesiemy z tej szkoły? Idziemy do niej po naukę, po prawdę, po uczciwość i wcale tego nie znajdujemy. Więc dziwnie smutnego uczucia doznajemy w duszy.

A warto też wiedzieć, jakie były dalsze nasze losy. Na każdym kroku doznawaliśmy skutków nieprzyjaznego usposobienia profesorów... Pytano ostro i bezwzględnie z widoczną tendencyą, by z końcem roku było dosyć „dwójek“. Tak też się stało. Z klasy, liczącej 66 uczniów, zostało tylko 32, było wydalonych 12 różnemi czasy dla byle błahego powodu, 10 otrzymało poprawki a 12 dwójki.

Wydalono też wielu uczniów z klas innych, dlatego, że nie opłacili dydactrum w swoim czasie, nie ogłosiwszy im jednak pierwej terminu ostatecznego. A gdy tego samego dnia, w którym ich wydalono ze szkoły, przyszli rodzice spłacać czesne, nie chciano przyjmować a nawet traktowano w sposób nieodpowiedni kobiety, tak że płakały. Profesorowie i dyrekcya oświadczali głośno, że będą postępować teraz z całą bezwzględnością. Powiedziano wszystkim, że od wyroku wydalenia niema apelacyi ani do rady szkolnej, ani do ministerstwa. Rady żadnej nie udzielono — a dyrektor kazał wszystkim zapisywać się na prywatystów. Dodać tu trzeba, że zostać prywatystą, znaczy dostać dwójkę. Rzadko bowiem który uczeń ze szkoły wytrzyma taki egzamin.

A już rzeczywiście należy napiętnować postępowanie władzy szkolnej z uczniami z zaboru rosyjskiego. Powiadają im n. p. że są „g o ś ć m i“ w Galicyi, że z ł a s k i są p r z y j ę c i do szkoły, że nie umieją po niemiecku i t. p. To trudno; dla tej młodzieży, która jest tu „gościem“ według pp. profesorów, Ojczyzna nie kończy się w Galicyi a jeżeli uważają ją jako żywioł szkodliwy, buntujący lojalne mózgi młodzieży galicyjskiej, to chyba może to być dla niej zasługą. Młodzież ta bowiem nie może n. p. podzielać zapatrywań niektórych, wyjątkowych obywateli galicyjskich, którzy perswadują synom, że dopóki n i e m a j ą 20 l a t nie obowiązuje ich słowo honoru (fakt taki zdarzył się w szkole realnej), lub namawiają ich do denuncyonowania kolegów... Nie, młodzież ta rodzi się już z honorem — a donosy pozostawia carskim urzędnikom.

Co nas czeka przy maturze, tego zapewne i sam Pan Bóg nie wie — ale, że nic dobrego, to pewna. Wchodzimy też do 7ej klasy z jakiemś zgnębieniem dziwnem.

Lwów.

Z nad Ingułu.

Drugi miesiąc upływa, jak opuściłem mury starego Lwowa. Przez ten czas miałem sposobność przebiedz Ukrainę bujną od skalistego Kamieńca aż do Ingułu, którego brzegi niejednokrotnie były świadkami krwawych starć i bitew między wojskami Rzplitej Polskiej a niesfornemi czambułami dzikich Tatarów o jasyr, uprowadzany przez tych ostatnich z kwitnących podówczas nad rzekami Ukrainy wiosek, stanic i futorów.

Dziś — zmieniło się to wszystko: futory w wioski, wioski pozamieniały się w miasta, zakipiało życie, suhaki i wilki spłoszone gwizdem lokomotywy wyniosły się w inne lepsze strony, lub padły pomordowane bezlitośnie brutalną dłonią człowieka; — step zmalał; kurhany prute rokrocznie lemieszem, płaszczą się coraz więcej ku ziemi, a rozdrapywane ostremi zębami brony za parę lat dziesiątków zniknią nazawsze z powierzchni ziemi, i nie będzie już wówczas komu świadczyć o tem, co na tym stepie się działo, o walkach wolnych synów jego z niewolniczym najeźdźcą, o wolności — matce, która tu z bujnym wiatrem w zawody chodziła.

A może już nie ma po co stać im tutaj, może nie ma za czem już świadczyć?

Spójrzcie na czarną wynędzniałą twarz głodnego rolnika, spójrzcie na przeciągające ulicą nędznego miasteczka chmary pyzatych wpółdzikich żołdaków ze spiewem na cześć cara na ustach, spójrzcie na dumną twarz urzędnika policyjnego, przelatującego w powozie, zaprzężonym trójką koni, z dzwonkiem u dyszla, przed którym wszystko milknie, wszystko się kurczy i chowa, — spójrzcie na ten ucisk straszny, na ten bezmiar beznadziejnej rozpaczy, jaka przejmuje małodusznych i nieświadomych, a i wam się zda wtedy, że nie ma już po co kurhanom wysokim wznosić w górę dumne swe głowy.

A jednak — wejrzyjmy bliżej w to życie, zajrzyjmy pod strzechy i na poddasza, do więzień i kaźni, a życie to inaczej nam się przedstawi: ujrzymy w więzieniach setki młodych zdrowych organizmów, co, wycieńczone głodem i indagacyami, brzęczą ponuro splotami kajdan, ale nie jęczą ani narzekają, lecz śpiewają pieśni wesołe o krwawym odwecie; ujrzymy pod strzechą słomianą i w murach kamienic skromne na szarym papierze odbite wydawnictwa tajnych drukarni, które potajemnie czytane pod strachem więzienia lub wygnania, rozpłomieniają młode szlachetne serca, rozbudzają miłość gorącą dla uciśnionych, a nienawiść bezmierną dla ucisku i niesprawiedliwości; ujrzymy sekty religijne i organizacye tajne; a cała ta robota mrówcza, niewidoczna dla mniej spostrzegawczego oka, zajmuje sobą tysiące żandarmów, trzyma pod bronią tysiące wojska... Objawia się ona systematycznie i ciągle, poczynając od t. zw. buntów chłopskich i robotniczych manifestacyi, a kończąc na ruchach studenckich, jakie miały i mają miejsce w roku bieżącym. Ciekawy to i niemało znaczący objaw, postaramy się w paru słowach skreślić przyczynę i znaczenie tych ruchów.

Otóż może nie jeden z was czytelnicy, sadzi, jak wielu nieznających tych stosunków, że ruchy te są to sporadyczne wypadki spowodowane nieprzewidzianemi lub niezupełnie przewidzianemi okolicznościami; może myślicie, że tegoroczne zaburzenia były spowodowane li tylko zaczepką studentów[1]) petersburskich ze strony policyi? Nie, najmocniej się mylicie — to był tylko pretekst. Powody i siły do protestu znalazły się gdzie indziej.

Nie ma prawie gimnazyum w zaborze rosyjskim, gdzieby nie istniały konspiracyjne organizacye uczniowskie[2]), które rokrocznie dają zakładom wyższym garstkę młodzieży niejednokrotnie lepiej wykształconej politycznie od niejednego z galicyjskich posłów do Sejmu lub Parlamentu. Garstki te organizują znów resztę w ścisły związek, który już jako pewnego rodzaju siła występuje z protestem przeciwko despotyzmowi i bezprawiom wszelkim.

Do jakiego stopnia dochodzi szlachetna gotowość tych ludzi do poświęceń w imię prawdy i sprawiedliwości, można wnosić z kilku słów charakterystycznych, wyrzeczonych do piszącego te słowa przez jednego ze studentów wypuszczonego przed tygodniem z więzienia, z powodu aresztowania tu u nas przed paru dniami dwu studentów-techników w sprawie kółek uczniowskich.

---

[1]) S t u d e n t a m i w zab. ros. i nazywają a k a d e m i k ó w.

[2]) O organizacyach uczniowskich zaboru rosyjskiego pomówimy później.

— „Słyszeliście, kolego“, — zwróciłem się doń, spotkawszy na ulicy — „Z. i P. przedwczoraj zostali aresztowani“.

— „Tak“ — odrzekł spokojnie — „to w sprawie wykrytej organizacyi uczniowskiej jako agitatorowie pojadą za propagandę na parę lat do Wiatki. Obawiam się, by Z. nie dostał suchot — słabą ma pierś“, dodał obojętnie niby, tylko zauważyłem jak mu drgnęła brew jedna lekko i niedobra zmarszczka przemknęła przez czoło. Pożegnał mię i odszedł. Wiem, że się przyjaźnił z Z. ale ani słowa ubolewania lub współczucia, ani wzmianki o zwichniętej karyerze nie wyszło z ust jego!

Czy możliwem jest coś podobnego w Galicyi?

Od kilku dni przebrzmiał ponuro nad głowami poddanych „białego“ cara potworny w swej barbarzyńskiej treści, przypominający rządy Mikołaja Igo, „pałocznika“, ukaz, składający się z 10ciu §§. który w streszczeniu brzmi jak następuje:

„N a p r z y s z ł o ś ć wszyscy studenci, biorący czynny udział w zaburzeniach uniwersyteckich, lub obstający u p o r c z y w i e za masowem nieuczęszczaniem na wykłady — niezależnie od odpowiedzialności, której podlegali dotąd według istniejących praw i przepisów — mają być oddawani do wojska na 1, 2 lub 3 lata stosownie do przewinienia. Karze tej podlegać mają wszyscy winni, nie wyłączając fizycznie niezdolnych do pełnienia służby wojskowej, którzy mają być zaliczeni „w niestrojewyje riady“ (do szeregów nieczynnych), Do rozstrzygania tych spraw wyznacza się komisya... i t. d“.

„W sołdaty!!“

Tak przemawia do niezadowolonych poddanych swoich dobrotliwy monarcha, inicyator konferencyi pokojowej.

„W sołdaty!“ ryczą za nim zgraje psów jego gończych, i ryk ten zmieszany z dzwonem cerkiewnym, pieśniami popów i pijanych żołnierzy rozszedł się po całej wielkiej „matuszce“ Rosyi. Psy żandarmskie nasrożyły uszu i poczęły węszyć pilniej, — złe duchy zaśmiały się złośliwie, a żelaźni pracownicy idei, słysząc ów hałas piekielny, spuścili powieki, by ukryć nadmiar tryskającej z oczu nienawiści i szepnęli przez zęby:

„Przecz się dziwić? nic lepszego się spodziewać myśmy nie mogli: wiemy dobrze, że albo zrzucić jarzmo despotyzmu, albo upaść pod nim!... Krzepcie się! Ramię do ramienia!“

Hej, carze, carze! Azaliś naprawdę nie przebrał jeszcze miary!?

Grzymalita.

Kronika.

Odezwa komitetu, zawiązanego w celu sprowadzenia zwłok Juliusza Słowackiego do Ojczyzny. Pięćdziesiąt lat dobiegło, jak, na obcej ziemi umarł poeta najdoskonalszy, zgasł duch może najgorętszy, jakiego Polska wydała. Był sternikiem duchami napełnionej łodzi; na zdartych w wichrze kul sztandarach jak pies się położył; z śniącego puharu swego serca pił do narodu swoim duchem, krwią swą i zdrowiem! niechcąc uwierzyć w śmierć Ojczyzny, na skrzydłach pieśni w błękit ją unosił — aż tam będą, kędy Pan Bóg świeci i puszczał, pewien, że jeśli żywa, to poleci — a kruszyło się w nim serce mętne, bo on nikogo nie miał ze szlachetnych i próżno słowa wyrzucał namiętne, pełne łez i krwi i błyskawic świetnych; co dnia myśl jedną rozpaczy zaczynał, tą myślą modlił się — i nią przeklinał, — i tak cicho odleciał, jak duch, co odlata... Umarł opuszczony i smutny i leży w kraju obcym— bez sławy za życia, bez czci po śmierci. Dzisiaj Bóg widzi jego białe kości w straż nie oddane kolumnowym czołom — chociaż on także miał Ojczyznę, która krwią i mlekiem płynna, a która także kochać go powinna...

Czyż już dzisiaj tak mało miejsca na naszej biednej ziemi, że nie zdołamy z niej wygarnąć mogiły dla tego, który swą duszę i życie dla tej ziemi poświęcił, blaskiem ją swym opromienił? O! czyż już tacy nędzni jesteśmy, że się na grosz zdobyć nie możemy, by wznieść grobowiec dla Króla-Ducha, który nas wiódł, gdzie Bóg — w bezmiar, wszędzie, w dzień jako słońce, w noc jako żar!? O zaiste! już by też była ta Ojczyzna biedna, gdyby dla niego zginionego młodo łez nie znalazła — ni listka wawrzynu na wieniec, ni grudki ziemi rodzinnej na grób, ni grosza na sprowadzenie zwłok jego świętych do kraju, który tak ukochał!

Rodacy! dajmy jeszcze jeden dowód, że naród nasz umie czcić swoich wielkich — pokażmy, że płomienny testament Króla-Ducha głęboko nam się wrył w serca - zapoznanemu i nieuczczonemu za życia oddajmy przynajmniej po śmierci to, na co sobie u nas zasłużył — nie skąpmy grosza, sprowadźmy do Ojczyzny jego popioły, które tam w grobie obcym za ziemią swoją tęsknić jeszcze muszą! Niechże na ten wzniosły cel w jubileszowym tym roku obficie składki popłyną; niechże się przekona duch twórcy Kordyana i Anhellego i Księdza Marka, iżeśmy o nim nie zapomnieli, iż nie nadaremno za życia wyrzucał swe błyskawice! Każdy najdrobniejszy nawet datek będzie dowodem żywotności narodu i naszych ideałów — i nabierze wielkiej wagi ze względu na zamiar, w jakim się go łoży. Od Was Rodacy, od Waszej ofiarności teraz tylko zależy, by jak najprędzej nadeszła chwila, gdy będzie można myśl w łonie młodzieży powstałą w czyn zamienić i w prastarym grodzie podwawelskim jeden jeszcze wznieść sławy grobowiec. Sobie samym przez to największą cześć wyrządzimy, bo On nie jest niczem swej Ojczyźnie dłużny, chociaż mieć będzie mogiłę — z jałmużny.

W Krakowie, w lipcu 1899.

Za Komitet: *Adam Belcikowski, przewodniczący. Kazimierz Bartoszewicz, Odo Bujwid, Zdzisław Czaplicki, Dr. Zofia Daszyńska-Golińska, Józef Kotarbiński, Seweryn Krzemieniecki, Dr. Ryszard Kunicki, Adam Siedlecki, Jan Stanisławski, Włodzimierz Tetmajer, Dr. Jerzy Żuławski.*

W Zakopanem odbył się zjazd kobiet polskich z trzech zaborów. Z uchwał, powziętych na nim, zasługuje na wyróżnienie zwłaszcza wezwanie do autorek polskich, by nie zasilały pracami swemi „Kraju“ petersburskiego, tego organu spekulantów ugodowych, szerzącego wstrętne zasady służalstwa politycznego. Uchwale tej gorąco przyklasnąć należy. Podobne wezwanie należałoby też wystosować do tych p i s a r z ó w polskich, którzy kierunkowi „Kraju“ są przeciwni, a jednak — piszą do niego. W ten sposób przyczyniają się do popularności „Kraju“ — ze szkodą dla naszych interesów narodowych.

Ruch strejkowy w Królestwie. Czytelnicy nasi dowiedzieli się już zapewne z pism codziennych o wielkim ruchu robotniczym strejkowym, który ogarnął Królestwo polskie. P r z e s z ł o 20 t y s i ę c y r o b o t n i k ó w r z u c i ł o p r a c ę w W a r s z a w i e i z a g ł ę b i u d ą b r o w i e c k i e m. Z radością zaznaczamy ten fakt, jako nowy dowód żywotności ludu polskiego, który wśród niezliczonych przeszkód toczy bój o światło, o godność ludzką, o dobrobyt. Lud pracujący wysuwa się coraz bardziej na czoło narodu w jego ofiarnym i trudnym pochodzie ku lepszej, szczęśliwszej przyszłości. Cześć bohaterskim braciom z za kordonu!

Powrót do barbarzyństwa. Słuszne oburzenie w uczciwej prasie galicyjskiej wywołał projekt wznowienia kary cielesnej w szkołach ludowych. Fakt to rzeczywiście oburzający i byłoby najlepiej zbyć go pogardliwem milczeniem, gdyby nie okoliczność, że są niestety indywidua, które z głupoty albo złej woli będą starały się poprzeć go a może i przeprowadzić.

Jestto nieszczęściem Galicyi — i pod tym względem stanowi kraj ten wyjątek w całej Polsce — że nie brak tu ludzi, którzy nie zaniedbują żadnej okazyi, by okazać swoją szczerą sympatyę dla... k n u t a, w jakiejkolwiekby on nie był formie.

W tej chwalebnej chęci powrotu do zastosowania „tradycyonalnej rózeczki“ w szkole przebija się co innego. Ta niewinna reforma w systemie pedagogii, kryje w sobie złowrogi objaw reakcyi — najgroźniejszy, bo dotykający najmłodsze pokolenie.

Nic tych panów nie obchodzi całe doświadczenie, jakie zdobyła pedagogia nowoczesna. Wychowanie, polegające na rozbudzaniu szlachetniejszych pierwiastków u dziecka, wychowanie, starające się zrozumieć odrębną zupełnie psychologię dziecięcej duszy i na tej podstawie kształcić umysł i serce, jest dla nich rzeczą niepojętą, bo widocznie sami przy pomocy kija zostali wychowani.

Rozumiemy, że takim ludziom trzcina jako jedyny środek pedagogiczny uśmiecha się — bo wiedzą doskonale, że te dzieci, u których już w zarodku stłumi się wszelkie poczucie godności ludzkiej, wyrosną później na ludzi — zwierzęta — a takimi łatwo kierować.

Ale usiłowania ich daremne — a podobnymi wybrykami dają oni tylko znać o swoich zamiarach społeczeństwu, które też ma się na baczności i tem więcej pilnuje się

przed takimi obrońcami „tradycyi". Na nich przedewszystkiem potrzeba „r ó z e c z k i".

Wiec maturzystów. Wśród wielu przemewień, wygłoszonych na tym wiecu, który jak wiadomo odbył się 3 lipca we Lwowie w hali muzycznej — zwłaszcza godnem uwagi było przemówienie p. Maryi P a r n i e w s k i e j, studentki lwowskiego uniwersytetu. Śliczne to przemówienie tchnące prawdziwym zapapałem, a zawierające wiele wzniosłych i szlachetnych myśli. przytaczamy tu w całości:

„Drodzy moi koledzy i bracia Polacy! Poraz pierwszy zabieram głos w życiu swojem = chcę sercem i duszą powiedzieć Wam, co czuję w tej chwili.

Najżywotniejszą kwestyą dla nas Polaków jest wypisanie na swoim sztandarze — wyszycie w swej duszy — d ą ż e n i e do wyswobodzenia Ojczyzny naszej ukochanej i postawienie jej na czele dalszego rozwoju ludzkości.

Jeźli się wpatrzymy, wczujemy w powiewy duchowe współczesne — to przedewszystkiem nas uderzy to — że ludzkość niejako przelewa się w nową fazę rozwoju — więcej przeduchowioną — szlachetniejszą, idealniejszą, że ostatecznie przechrześcijania się jednostki przesiąkają nauką Chrystusową: W tej nowej fazie pragnieniem naszem być powinno, by nasza Polska stanęła na czele odnowionej ludzkości!

Wreszcie my Polacy — naród więcej marzycielsko-arystokratyczny — mówię tu a r y s t o k r a t y c z n y w tem pojęciu wysokiem, duchowem — my więc Polacy mamy najwięcej szans, by przodować ludzkości na owej drodze jej czysto duchowego rozwoju!

Lecz by się wznieść na ten piedestał, by rzeczywiście stanąć tak wysoko, trzeba by nasz naród, naszą Polskę składały spiżowe jednostki — wykute z marmuru, z wielkiem hasłem duchowem, jednostki wielkie, nieugięte, którym by wiecznie przyświecał ów ideał Prawdy, Dobra i Piękna!

By nam stanąć tak wysoko — pamiętajcie, iż do tego trzeba też obudzić i niewiasty nasze. Bo ja widzę, jasno jak na dłoni, że Polska nasza nie stanie nigdy na tym piedestale, na jakim ja już widzę ją w swem marzeniu, jeśli połowa naszego społeczeństwa śpi jeszcze! Wasze siostry i przyszłe żony, to lalki wymuskane, stworzone jedynie dla ozdoby salonow, myślące tylko o stroju i flircie!

Gdy będzie tak dalej, trudno będzie się podnieść naszej Polsce ukochanej. A więc słuchajcie, waszym obowiązkiem jest przyjść z pomocą waszym siostrom, rozbudzań w nich duszę śpiącą... Czas już wielki, byście w niewieście widzieli nie tylko kobietę lecz i człowieka! A i ona żyć zacznie, gdy każda z dziewic polskich uczuje w swej piersi ducha wolnego i swobodnego — wówczas szczęścia naświecie nie będzie granic — siły się nasze podwoją i nic już nas nie złamie!

I stanie Polska wielka, arystokratyczna swą kulturą, na podziw i przykład innym ludom. A będzie istniała wiecznie, bo ma już fundamenty spiżowe, niezachwiane!

Ja to czuję w swej piersi, iż my będziemy wielcy, niezmożeni — silni — silni niewzruszenie... bo silni tą siłą duchową, ktorej nic nie zdoła podkopać i zburzyć!

Bo gdzież jest na świecie taka siła,
Co by moc ducha wzniosłego skruszyła?
A więc by Polska wstała odrodzona,
Wezwijcie niewiasty do waszego grona,
I idźcie śmiało w zapasy z podłością,
By świat napełnić jedynie miłością...
Dalej bracia! w górę czoło!
Z dumą w oku, z wzniosłem sercem
Obiegajmy świat wokoło,
Wypleniajmy źdźbła szkodliwe,
W zamian siejmy ziarna żywe!"

Upraszamy o rychłe odnowienie prenumeraty.

Wydawca: **Władysław Wolski.** Odpow. redaktor: **Aleksander Wieleżyński.**

Z Drukarni „Słowa Polskiego" we Lwowie, pod zarządem Z. Halacińskiego.